

Nazywam się Góralaska Aleksandra . Urodziłam się 14.10.1930 r. w leśniczówce Wroni Bór , powiat Bielsk Podlaski . Ojciec mój był leśniczym . Tam mieszkałam 5 lat . Następnie ojca przenieśli do miejscowości Myrha . Tam mieszkaliśmy do chwili wywiezienia nas .

10 lutego , bardzo wczesnym rankiem , załomotano do drzwi . Ojciec pojechał już do pracy , do nadleśnictwa Gruszki po wypłaty . Mama poszła do drzwi , a tu krzyczą - odkrywaj . Mama otworzyła . Oni wpadli do domu z takimi dużymi karabinami , ze sztykami na wierzchu , i od razu do mamy - gdzie mąż ? Mama mówi - że pojechał do nadleśnictwa . To jak raz był dzień wypłaty , i robotnikom trzeba było przywieźć pieniądze . A oni mówią , że sami sprawdzą . Trzech było uzbrojonych , a jeszcze paru z takimi opaskami czerwono-białymi na rękawach już po cywilnemu byli . Przeszukali dokładnie całą leśniczówkę . Nie znaleźli , więc kazali mamie zadzwonić do nadleśnictwa . Kiedy zadzwoniła , to pod dyktando kazali jej zapytać , czy jest tam ojciec . Kiedy powiedziano , że jest , że pobiera pieniądze , to kazali jej powiedzieć , że ma on natychmiast wracać do leśniczówki . Mama tylko to przekazała , ale głos jej drżał , więc tato pytał się co się stało . Nie zezwolili jednak dalej mówić . Ojciec jak pojechał tam , to ponieważ sroga zima była , to jechał sankami . Ale już z powrotem , to jechał na oklep . Wszystko , nawet broń zostawił w nadleśnictwie . Przy sobie miał tylko mały toporek , i tak wracał .

Zanim wrócił , to jeden ze starszych kazał wszystkim nam stać pod ścianą , i trzymać ręce do góry . Mama miała na rękach naszą najmłodszą siostrę - rok i cztery miesiące . Więc mówi - no to jak ja wezmę ręce do góry skoro trzymam dzieciaka . Więc mama trzymała ją na jednym ręku , a drugą do góry . A my wszyscy , nas było pięcioro , w rzędku , i wszyscy ręce do góry . Tak czekaliśmy niedługo , bo ojciec i zaraz przyjechał . Kiedy tylko wszedł , to zaraz i ruki w wierch , żeby on broń oddał . To on wyjął tą siekierkę i mówi - proszę . Zabrali mu tą siekierkę , i tak samo pod stienku . Rozpoczęli rewizję całego mieszkania . Nic tam jednak nie znaleźli , i mówią - sobirajsia . Mama mówi - dokąd? A oni - że nie

nie mogą powiedzieć dokąd , tylko szybko ubierać rebiaciszki , i że czeka ją już fury . W międzyczasie oni złapali sąsiada . On był samotny . Jego cała rodzina była w Warszawie . On im uciekł , oni go złapali ponownie . Musieli go bardzo zbić , bo nas nie wpuszczali do pokoju gdzie go trzymali . A jak ja zajrzałam do pokoju , to miał oczy tak przekrwione , tak wykłupione . A ja jego znałam , bo on na codzień przychodził do nas , a teraz te oczy były zupełnie nieprzytomne . Kazali mi się cofnąć , nie zezwolili tam nikomu wejść . Mama prosiła - choć coś z pokoju wezmę , przecież tam są moje rzeczy . A oni mówią - тебе ничто не prigaditsia , ty tylko zabieraj rebiaciszki i wsio . Mama spakowała co dała radę , a tu jeszcze ten z opaską na rękawie mówi - niech pani przynajmniej poduszkami obłóż dzieci , bo zmarzną . Na jedne takie małe sanki no co tam można było zabrać . A tam wsadzili nas , wszystkie dzieci . Mama tylko tak nas poduszkami obłoczyła , żebyśmy nie pomarзли . A ojca osobnymi sankami już wieźli . Nas pilnował tylko jeden bojec , z tyłu siedział , a za ojcem , i za tym panem Augustynem to reszta . Posadzili ich z przodu , a sami za nimi z tyłu . I tak nas wieźli aż do Narewki .

Kiedy dojechaliśmy do Narewki , to już zmrok zapadał . Tam nas rozładowali na peronie . Otworzyli zaryglowany wagon , i licząc kazali po kolei wsiadać . Tam w wagonie ciemniutko , a tato mówi - czy w tym wagonie ktoś jest ? Więc ludzie odzywali się , że tak . A ten wagon był taki towarowy , zakratowane małe okienka . Nas na górną pryczę z jednej strony wpakowano . I ojciec zaczął się wypytywać , czy ktoś znajomy jedzie . A to wszyscy z tych terenów byli . Jechał sąsiad Deptuła , który był gajowym , Dąbrowscy , Żubryccy . To ciemno nic nie widać , trzeba było jakoś się poznać . I wszyscy zastanawiali się dokąd nas wywożą .

Na tej rampie do rana czekaliśmy . Tam jeszcze stale kogoś do tych wagonów doładowywano , więc było już strasznie zagęszczone . Za swoją potrzebą nie wypuszczano aż do rana . Jeżeli już ktoś chciał , to pod kontrolą tego krasnoarmiejca ze sztykom , i zaraz wracał do wagonu .

Rano cały nasz transport ruszył . W Baranowiczach jeszcze coś docze-

piali , tak że ten transport był bardzo długi . Mijamy poszczególne stacje , ale to wiadomo dokąd nas wywożą ? Jeżeli nic nikomu nie trzeba było to wiozą na stracenie . Przekroczyliśmy granicę . Stołpce , Niegorełoje . Po trzech dniach otworzono drzwi wagonu , i mówią - Wda czełowieka za wodą i dwa za chlebom . Po wodę poszedł mój ojciec z panem Augustynem . Ale ten Augustyn zaraz po wyjściu prysnął . Uciekł , i prawdopodobnie jak słuchy chodziły , już go nie łapali , tylko zastrzelili . Ojciec sam do wagonu przyniósł te dwa wiadra wody , inni dwaj przynieśli chleb .

Transport ruszył . Za ucieczką kolejne trzy dni nikogo nie wypuszczali z wagonu , i nie otwierali drzwi . Ktoś zabrał ze sobą siekiere , więc wyrąbano otwór w podłodze , by można było się załatwiać , spięto koce , którymi to zasłonięto . Po otwarciu wagonu powiedziano nam , że jak jeszcze ktoś ucieknie , to nas wszystkich wezmą na rozwałkę . I się już uspokoiło . Nikt więcej nie uciekł . Wszystkich dowieźli .

Dowieziono nas do Uralu . Wjechaliśmy w te góry , aż tu raptem zaczynamy jechać z powrotem . My zakratowani , nic nie widać , mówią - to chyba już koniec , widocznie coś tam wyszło , zabierają nas z powrotem . Jechaliśmy parę dobrych godzin . Okazało się , że parę wagonów odczepiło się , więc jechaliśmy tak szybko jak pociąg . Dopiero zatrzymał się na jakiejś stacji , słyszymy , otwierają się drzwi , i mówią , że nasze wagony wyczepiły się . W jaki sposób , do dziś trudno powiedzieć . Tak , że cofnęliśmy się dobre kilkadziesiąt kilometrów . Później znowu jakimś parowozem dociągnięto nas do naszego transportu . I dalej w drogę .

Wieziono nas tak przez cały miesiąc . 10 lutego nas zabrano , a 6 lub 7 marca zawieźli nas do Nowosybirsk . W Nowosybirsku nastąpiło pierwsze takie prawdziwe wyprostowanie nóg . Najpierw zabrano wszystkich mężczyzn , i poprowadzono nie wiadomo dokąd . Tego nam nie powiedzieli . Później zabrano kobiety i dzieci , i też odprowadzono . Szliśmy jedną stroną drogi , na której był zamknięty ruch samochodów . I tak drogą szła cała kolumna kobiet i dzieci . Na pytanie - dokąd nas prowadzą , powiedziano , że do kaźni . Jak do kaźni , to wszystko w porządku . Brali tam

nas rodzinami . Odliczali , sprawdzali wg listy , i kierowali do kąpielni . Po tak długim okresie czasu pomyślałam sobie , że przynajmniej sobie się pokąpię . Siedzę sobie , woda szumi , a mamę z resztą rodzeństwa dawno już zabrali . Rejwach się zrobił , że jedna córka zginęła . Ale mnie znaleźli pod tym prysznicem , przyprowadzili do mamy , ubrali . Po kąpielni prowadzą nas całą kolumną z powrotem . Szła wtedy jakaś kobieta po drugiej stronie . Tam było wąsko . Chodniki nie takie jak u nas szerokie , tylko wąskie , drewniane . Jezdnie też nie szerokie . Patrzy się na nas ta kobieta , i mówi - wy ludzie nieszczęsnyje , apiac was wiezut . Mama coś się tam odezwała , ale podbiegł bojec z karabimem , i nie było mowy o rozmowie . Tak , że nas ponownie zgodnie z wykazem , załadowali do wagonów i powieźli dalej . Podróż trwała jeszcze parę dni , aż dojechaliśmy do Bernauku . Bernauk jest jednym z większych syberyjskich miast . Tu odczepili nasze wagony . Część została skierowana do kopalni złota , a nasza część została skierowana do tajgi , do wyrębu lasu .

Wyładowanie nastąpiło 10 marca w Talmience . To było takie rejonowe miasteczko . Wychodzimy , nic nie widać , wszystko zasypane śniegiem aż po dachy . A śniegu było tam wtedy ponad dwa metry . Czekamy na tym peronie nieprzyzwyczajeni do tego zimna , drżymy . W końcu podjechały tam sanie tzw. kibitki . Takie dwie płozy , i położone w poprzek deski w dwa romby . I na to posadzili rodziny i wieźli . Wyładowano nas z samego rana a na miejsce przyjechaliśmy już dobrze w nocy , bo już niebo takie było gwiaździste . Wieźli nas przez tę tajgę cały dzień . Sanie jadą jedne za drugimi , jak się któreś wywracały , to dawaj sprawdzać i odliczać . Tak przywieźli nas tam nocą . To był barak i oziero Zajskie . Nazwa pochodziła od jeziora . Barak do którego nas zapakowano nazywał się tak jak jezioro . Barak Zajskie . Pokoiki nieduże , w każdym kącie rodzina , i jeszcze jedna na środku .

Siedzimy tam , ani spania , ani życia , a jeść się chce . W trasie to choć co pewien czas dawali ten kipiatak , i po kawałku chleba . A tu nic . Dopiero rano drzwi się otwierają i wchodzą do baraku . Komendant

Poczekujew i majster Bieznosow . Ten miał nas nadzorować , a ten miał być naszym komendantem . Baraki były dwa . W każdym ileś tam rodzin . I on mówi - niech każdy się rozgości , zajmie miejsce , a oni potem powiedzą , jaka to praca , od czego będziemy zaczynać . Siedzimy, słuchamy , ktoś się zapytał o chleb . A oni mówią - chleb będzie za dwa dni , bo drogi tak zawiąło , że nie ma możliwości dojazdu , dopiero poślą jakichś tam ludzi na nartach jak kurierów , żeby przywieźli chleb .

Kiedy chleb już przywieźli , mężczyźni poszli , narąbali drewna , zaczęli palić , bo baraki nie były dotąd grzane . Później jak już każdy jakoś się zadowił w tym kącie pognano nas do pracy . Ogłoszono , że dorosłych obowiązuje norma , a dzieci pół normy , Nasza praca polegała na piłowaniu 10-12 centymetrowych krążków z kłoców drzewa , piłowaniu ich na paski i wybijaniu z nich takich tremponów . Takie półkola wybijało się dłutem półkolistym , temperowało się nożem . Każde dziecko miało zrobić tego ileś tam sztuk , a dorośli dwa razy więcej . Najpierw normy te nijak nie wychodziły , bo te trempony pękały w najwęższych miejscach , potem już jakoś to szło . I za te normy dostawaliśmy chleb . 200 gr. dzieci , 400 gr. dorośli . Później zaczęto dwa lub trzy razy w tygodniu dowozić nam zupę . Mówiło się na nią - bałanda . Takie otręby lub mąka zabełtane tak , żeby to nie była czysta woda . Dawano tego po łyżce stołowej na dziecko , i po dwie łyżki wazowe na dorosłych . A i ta zupa wydawała się nam taka smaczna . Zupy nie jedliśmy przecież od momentu wywiezienia . Tak to czekało się , kiedy ta kibitka się pokaże , i kiedy przywiozą ten kocioł zupy . Zupę dzielono na miejscu tak , żeby każdy mógł ją zjeść , i ten kawałek chleba razem z nią .

Początkowo , póki były jeszcze zapasy z wagonów , to było dobrze . A potem , kiedy wydawano po te 200 gr. , to każdy z nas zjadłby je od razu . A i chleb ten to taki jak glina , jak zakalec . To i tego chleba tyle co nic . To mama weźmie ten chleb , podzieli w takie kostki jak czekolada , i potem powoli każdemu wydziela . Bo jak zjesz na raz , to potem z głodu możesz umrzeć . Tak się tego chleba czekało , że aż strach.

Tak doczekaliśmy się wiosny . Wiosną pogonili nas do pracy w lesie. Dorośli mężczyźni ze sztamajzami chodzili i nacinali okorowane zimą drzewa . Najpierw nacinano rowki pionowe , a później skośne , zwane wąsami . To było żywicowanie . A kobiety i dzieci podbijał te trempony wykonane zimą . Te półkoliste trempony podbijało się , aby spływała żywica do podstawianych niżej garnuszków w kształcie doniczki , przymocowywanej na takich drewnianych gwoździach . Spływającą żywicę wybierać trzeba było do wiader i nosić do schronów . Dziecko miało nazbierać wiadro tej żywicy , a dorosła kobieta dwa wiadra . To było niesłychanie ciężkie . Od sosny do sosny trzeba było robić ścieżkę . A to tak splecione było żółtymi akacjami , że nie można było przejść . To była przecież tajga nieprzetarta . Później , kiedy już sobie wydeptaliśmy te ścieżki od sosny do sosny , to było już łatwiej , ale jak idziesz , i coś opuścisz , a majster zobaczy , że gdzieś jest opuszczone , to wstrzyma ten pajok za złe zbieranie . Jak już nazbiera się to wiadro żywicy , to trzeba do schronu zanieść , często kilkanaście kilometrów . I ciągnij to jak jesteś dzieckiem . A to już teren górzysty , bo to już Ałtajski Kraj . Niesie się i na głowie , i na plecach , ta żywica się wylewa . To znów te łopatki do wygarniania tej żywicy z garnuszków - baraskity - przykleją się do ręki . To razem ze skórą się oddziera , krew cieknie , my chodzimy i płaczemy , ale musowo trzeba robić . Potem przychodzi majster i mierzy . Tam były takie beczki z otworami okrągłymi , przez który wlewało się całą żywicę . Wlewała się tak jak gęsty miód . I tu nie oszukasz , że zebrałaś tyle i tyle . Jeżeli ja powiedziałam , że nazbierałam wiadro , siostra wiadro i mama dwa wiadra , to majster wkładał miarkę do beczki i wiedział czy oszukałyśmy go czy też nie . Bo oszukać nie było jak . On zawsze wiedział ile jej jest w beczce . Jak sprawdził , że się zgadza , to w porządku . Pajok będzie . Wtedy można było wracać do domu . A ręce pokrwawione bolą , żywica się nie odmywa . Więc mama brała naftę , i naftą nam te ręce smarowała . Trochę to ulży , trochę ta nafta goi te rany . Że czuć było okropnie - to nic . Ale to był jedyny ratunek . Przychodziły anginy . Lekarza nie było . Był jakiś fel-

czer , ale 11 km. dalej na innymuczastku . Nie było zresztą potrzeby do niego chodzić , ponieważ on i tak nie miał żadnych leków . To mama robiła z waty lub jakiegó tam ściereczki taki mazak , moczyła w naFcie , i smarowała nam gardła tą naftą . Otwierało się usta i mama smarowała . W ten to sposób leczyło się anginy . Czy to było skuteczne , nie wiem . Ale skoro cała rodzina powróciła do kraju , to chyba coś w tym było .

Wiosną , przy tej pracy nie można było się wprost opędzić od komarów . W powietrzu unosił się jeden nieustanny bzyk . Majster kazał nam przychodzić po dziegć , i tym dziegciem smarować się całemu . Wydzielał każdemu równe miareczki , i kazał się nasmarować . Jak się człowiek cały wysmarował , to tylko oczy błyszczały , a ciało było całe czarne i cuchnące . To do pół godziny komary te dawały spokój . Potem znowu gryzły . To przez cały dzień człowiek się tak nasmaruje , że wieczorem nie szło się domyc . Tu znowu mydła mało . Więc robiło się taki żug z popiołu drzewnego , rozcieńczało się to wodą , i tym się myło . Bo nie było czym tego domyc . Później wydawano nam tzw. nakomarniki . Taki kapelusz z siatki . To od komarów chronił on jeszcze jeszcze , ale od meszki nie szło się obronić . Od tej meszki malutkiej nikt nie ucieknie . To oczy były tak podpuchnięte , że tylko szparki sine w sinej twarzy było widać . A to boli , swędzi . Cała głowa opuchnięta . I od tego nie ma ratunku żadnego . To od muszki bronionosię w ten sposób , że zapalało się próchno , brało ze sobą , wieszało się sobie na szyi coś takiego jak kaganek , żeby dym choć trochę odpędzał te meszki .

Jak już zaczęła rosnać pokrzywa , jak pojawił się szczaw , ale to nie był prawdziwy szczaw , tylko dziki , taki wąskoliściasty , to było już lepiej . Jak się wracało po pracy , to się nazbierało pokrzyw , tego ptasiego szczawiu , i można już było ugotować zupę . Ugotowało się tej zupy , trochę się osoliło , to jak mama naląka , to był już prawie luksus . Coś się jadło gorącego , i nie była to sama woda . Ale zbierać można było dopiero po wyrobieniu normy . Ale i tego nie było za wiele . Najwyżej na prześwitach , na trybach rosły te pokrzywy .

Po napełnieniu beczki żywicą zabierano ją transportem , a nową beczkę trzeba było z tego uczastka doturlać do swego schronu . To ja z bratem wybierałam się po beczkę , a starsze rodzeństwo pracowało , żeby nie traćć dniówki . Turlamy tą beczkę do tego chronu , turlamy . To z góry jeszcze szło , ale pod górę to był prawdziwy wysiłek . Te beczki były ogromne po 200 kg. pojemności . W każdym razie jak ja stałam to ta beczka sięgała mi pod brodę . I to trzeba było zaturlać do schronu , żeby w nową zlewać tą żywicę . To potem z bratem opracowaliśmy system taki , że brat włożył na beczkę i przebierał nogami , a ja tylko nakierowywałam ją na drogę . Bo jak wpadała w zarośla , to ni rusz nie możemy jej wyciągnąć . I tak to dzięki temu systemowi dostarczaliśmy te beczki .

Jak przyszło lato to niestety nie było ani czarnych jagód , ani poziomek , ale w sierpniu pojawiały się borówki . Masa czerwonych borówek . Po skończonej pracy każdy z nas niósł zawsze ze sobą do domu woreczek tych czerwonych borówek . To składało się jako zabezpieczenie na zimę . Całe te nasze zbiory składaliśmy do jednej dużej beczki . Mama zalewała to gorącą wodą , i w ten sposób szykowaliśmy się do zimy . Bo te borówki gotowane były bardzo kwaśne , ale lekko sparzone i posolone , by ten kwas zabić , były doskonałe do jedzenia , choć potem zębami przez tą oskome nie było jak gryźć . Ale witaminy były , i to było najważniejsze .

/ Koniec zapisu - część I strona 1 . Zapis - część I strona 2 ./

Inną formą witamin były tam takie lilie . Kopało się te lilie , te cebule się wybierało i gotowało . Dojrzewała czeremcha , jagody czeremchy . Więc robiło się z nich placki . Tłukło się w moździerzu , i piekło na płycie . To jeśli się przełykało małymi kęsami , to jeszcze szło . Lecz ona ma w sobie jakiś garbnik , który ściska strasznie gardło , tak że można się zadkać . I to się tak jadło .

Później , to już zezwolono po 100 m² powierzchni przeznaczyć pod własne ogródki . To było na drugi rok jesienią . Trzeba było wykarczować sobie te poletko i posadzić coś do jedzenia . To my posadziliśmy ziemniaki trochę karonów , coś jeszcze . To wszystko tam bardzo szybko dojrzewało .

Lato tam było bardzo krótkie . Śnieg topił się do 15 maja . Około 15 czerwca można było wszystko posadzić , i do sierpnia już wszystko powyrastało . Bardzo szybko przebiegała tam wegetacja . Poletka robiło się na południowych zboczach gór . Lecz więcej niż 100 m² nie wolno było . Majster chodził i sprawdzał , czy nie oszukujemy .

Lecz i to , to już było bardzo pomocne . Można już było takie małe bulweczki ziemniaków podbierać po jednej , żeby choć coś włożyć do zupy .

Ale we wrześniu wszystkim dzieciom kazano iść do szkoły . Zabrano je wszystkie w wieku 8 - 12 lat . Zabrali nas wszystkich do internatu , dali nam taką dozorczynię , która pilnowała , żeby nie rozmawiać po polsku . No i tam nas uczono języka rosyjskiego . Nie było rady . Uczono wszystkich przedmiotów ze szczególnym naciskiem na język rosyjski . Rozmowy po polsku były zabronione . Jeżeli ktoś rozmawiał po polsku , to jeżeli już później nam dawano po łyżce zupy , to za karę nie dostawał tej zupy . Każdy starał się więc w tym internacie nie rozmawiać , a jeżeli już , to tak , by nikt nie usłyszał i nie doniósł .

Spaliśmy w tym internacie na waleta . Jedną nogami w jedną stronę , drugą w drugą , ot i takie spanie na tych łóżkach . Pod kocami nocą można było jedynie rozmawiać sobie po cichu , by nikt nie usłyszał . Jak już nas tam zgrupowali , to starsze dzieci jakoś sobie dawały radę , a młodsze to jeżeli jeszcze pokrzyczyła dozorczyńni , to już całe w strachu . Więc przychodziła po nas nauczycielka , zabierała nas do siebie . Jeść się chce , te 200 gr. chleba to mało . Jedne dziecko sobie oszczędza , to drugie jemu zje . To i wiadomo , tak jak we wspólnym . Nawet ja . Oszczędzam , zdaje się , że nie zostawiam . A ja i brat byliśmy razem w tym internacie . Więc oszczędzamy , zdaje się że już mamy trochę tego chleba , to spod głowy wyciągną i zjedzą .

Więc nauczycielka mówi - pójdziemy na wycieczkę . Na tej wycieczce zbieramy te zeszłoroczne , przemarznięte jagody . Już takie słodkie . Ale one jeszcze bardziej zaostrzały apetyt . Ale to była jedyna nauczycielka , którą naprawdę miło wspominać . To ona zabierała nas czasem do siebie do pokoiku , grała nam na gitarze , i kazała tańcować . Ale gdzie

tam tańcować , jak w brzuchu z głodu piszczy . Nam na płacz się zbiera . A ona miała jeszcze patefon . To nastawi nam płytę . To do dziś pamiętam utwór o tych trzech laszkach , co to każdy jeździec jechał , i przywoził sobie żonę . To niby miało nam przypominać o tych polskich czasach . Jak nas zabierze , to opowiada nam różne historie , trochę uczy . Ale co na głodnego dużo się nie nauczysz . W końcu pojawiły się jakieś postępy . To mówi , że dorze , że otliczno .

Ja te swoje otliczno , to niosłam do domu 6 km. Tyle było od tego uczastka , na którym nas zgrupowali . Niosłam , żeby powiedzieć mamie i tacie jaki to ja stopień dostałam . Ale jak przyszłam do domu , to zapomniałam jak się ten stopień nazywa . I mówię - no , to dobry stopień . Ale zapomniałam jaki . Mama mnie pyta - może choroszo ? Nie - mówię . Ale odchodząc na drugi dzień , bo na niedzielę nam pozwalano wracać do domu , przypomniałam sobie , że otliczno . To dobrze - mówi mama - to znaczy , że się uczysz . Ale nie zapominaj , że masz własny język , którym mówisz . Tak więc było , że w domu rozmawiamy po polsku , a tam po rosyjsku . Ale kiedy opanowaliśmy rosyjski , było nam już trochę łatwiej . Można było już łatwiej się uczyć , bo do tychczas to było wszystko na pamięć . Nauczyciel mówi do nas , a my coś rozumiemy , czegoś nie , tak różnie było .

Kiedy co tydzień chodziliśmy do domu , to drogę skracaliśmy sobie przez jezioro Tozajskoje . Na około , to nam trzeba było iść 6 - 7 km. , a przez te jezioro zimą to coś koło 4 km. O wiele krócej . Szkoła nasza mieściła się nad ozierom Czornym . Przy każdym jeziorze tam stał barak . Tam były oziera Szypiczyno , Kruglanka , Lebiażje i Sandałow . To były jeziora poboczne , a nad Czarnem była komendantura . Tam chodzono po zwolnienia . Jeśli ojciec czy mama chciał zwolnić się i iść wymienić coś za coś , żeby kupić w jakimś kołchozie ziemniaków wiadro , lub coś innego do jedzenia , to musiał wieczorem iść na to Czornoje , wziąć przepustkę , i z tą przepustką wrócić zanim zapadnie zmrok . Najbliższ kołchoz był ok. 30 km. od naszych baraków . I trzeba było po powrocie iść tam i zameldować o powrocie . I jeżeli przyniosło się te wiadro ziemniaków , to już

mama po tym jednym ziemniaku wkroiła do zupy . I taka zupa to już był luksus . Ale takie wyprawy mogły odbywać się raz na tydzień , lub na dwa tygodnie . To mógł jeden z dorosłych w rodzinie iść i robić wymianę , bo nie można było tego nazwać zakupami .

Jak już ojciec czy mama , ktoś z rodziny , szedł na te zakupy , to odwiedzał nas w tym internacie . I to było wielkie święto , jak pozwolono któremuś z rodziców nas odwiedzić .

Po pewnym czasie każde z nas nabrało już odwagi . A wtedy kazano już nam śpiewać Hymn ZSRR . To był z nami taki już starszy , 12-letni już chłopak . I jak jemu każą śpiewać , to on beczy takim baranym głosem . My boimy się , więc śpiewamy jak trzeba , a on beczy specjalnie tak , żeby to jakoś zepsuć . Ale jak idzie do ubikacji , to stamtąd śpiewa tak głośno i czysto hymn . A tu już leci ta , która nas pilnuje , i wyciąga go , bije i wrzeszczy , jak to można śpiewać hymn w ubikacji , załatwiając się . Ale on jak to chłopak . Zarobi , ale swoje robi . A jego siostra była moją rówieśnicą . Pewnego dnia mówi do mnie - Ala chodź , i ty Jadźka też . Zabrał mnie i swoją siostrę , i prowadzi nas . Wchodzimy do szkoły przez okno . A to był barak dość wysoki , ok. 4m. I jak on wszedł na stół , to postawił jeszcze ławkę , i jeszcze nie mógł sięgnąć do portretu Stalina . Dopiero jak postawił taboret nauczycielki , który kazał trzymać mi i Jadzi wlaź na to , i palcem powydłubywał oczy Stalinowi , i zostawił tylko takie łezki . Zeskoczył z tego , i mówi do mnie - pamiętaj , teraz jeżeli przyznasz się , i ty Jadźka też , to do kołona językiem przytknę . A już komuś tak zrobili , i cała skóra została na tym kołonie . A kołona , to była ogromna taka siekiera , żeby rozbijać takie ogromne kłoce drewna . To pamiętaj - mówi do mnie - język zostanie ci na tej kołonie . To gdzie tam sypać . Wszystko , tylko nie to . Wkońcu ktoś tam zobaczył , że Stalin płacze , i rozpoczęło się dochodzenie kto i jak . Wszystkie dzieci były wzywane przez komendanta na dochodzenie . I już boimy się na zapas . A jak ten Kazik zobaczył , to był Deptuła , sąsiad nasz , tam gdzieś kiedyś mieszkali , Jadźkę za frak i uciekli nocą . Oni uciekli nad swoje

jezioro . Na Lebiażje , a ja byłam z Zajskiego . A tu biorą pod rząd , a ich nie ma . Mnie wzięli na dochodzenie . Ale wiadomo dzieciak , jak to dzieciak , położył pistolet , postawił karabin i srasz - jeśli się nie przyznasz , to ojca twego zastrzelimy . Boję się , bo wiem , że tak może być . Ale boję się jednocześnie tej siekiery , i języka . Nie przyznałam się , ale chyba widać było po mnie , że ja tam coś zbroiłam . Zabrali mnie , nie puścili do internatu , i wsadzili do takiej piwnicy , tzw. pierewałocnej , gdzie robiono drewniane beczki . I tam był cały magazyn beczek , w takim ziemnym schronie .

Wsadzili mnie do tego schronu . Do wieczora to jeszcze jako tako . Siedziałam na beczce , bimbałam nogami , i myślałam , że w końcu chyba wypuszczą . Ale przyszła noc , a mnie nie wypuszczają . Więc ja najpierw się modłę , później zaczynam płakać , a później to już krzyczę w niebogłosy , żeby mnie wypuszczono . A tu myszy biegają , szczury . To ja podkułiłam nogi na tej beczce , ale nikt nie przychodzi . A jak ja już zaczęłam dobrze tak się drzeć , to usłyszałam moją nauczycielkę pod tymi drzwiami . Nie płacz - mówi - ja tutaj jestem , pod tymi drzwiami . I ona rozmawia ze mną przez te drzwi , ale co to za rozmowa , jak ja siedzę na tych beczkach , a tu szczury biegają . I zimno , i ciemno . A tu brat szuka , bo nie powiedzieli , że zostałam zamknięta , tylko że poszłam do domu . Że zwolnili mnie do domu .

Dopiero nad ranem wypuścił mnie komendant , i znowu pyta - czy to moja robota . A ja mówię - nie , przecież ja nawet tam nie sięgnę . Nie dam rady przecież tego zrobić . No i wypuścili mnie . Prawdopodobnie to i ojca wzywali , ale co on mógł wiedzieć , skoro mnie u nich jeszcze nie było , i ja im nic nie mówiłam . Zresztą , chyba bym i nic nie powiedziała rodzicom .

Odsiedziałam ja tam tą noc , wypuścili mnie wczesnym rankiem , to ja tak stoję i dygoczę z zimna . Poszłam do internatu , tam ta która nas pilnowała Marusia położyła mnie , i choć trochę ogrzałam się do lekcji .

Kazika też brali na dochodzenie , lecz i on się nie przyznał .

Tą nauczycielkę - Julię Grigoriewnę to do dziś pamiętam . Ona była młoda . Tak jak później ona mamie mówiła , ona była komsomołką , jako kara nastąpiło jej tam skierowanie na ten uczałek . Ona była jasną blondynką , i mi się wydawało , że ona jest najładniejsza , jakie mogą być . Bo ona była dla mnie dobra . O na tak jakoś o mnie dbała . Chyba wiedziała , że tam krzywda się dzieje . I ona później opowiedziała mamie jak to się wszystko stało . Jak już od nas odeszła .

Wróciliśmy wszyscy do szkoły , tego Stalina nam zmienili , i więcej już tego nikt nie ruszył . Ja odsiadkę miałam , i na tym się skończyło szczęśliwie . Tylko temu Kazikowi to ja tę odsiadkę dłuższy czas wapięminałam .

Później nową zabawą starszych chłopców stało się wyrabianie z drewna pistoletów . Wypalali je tak , że się odciągało taki cyngiel , i się strzelało . Uzbrajali nas wszystkich i mieliśmy taką polską armię w lesie . Barak stał przecież w lesie . I ktoś doniósł , że biegamy po lesie , i mamy przy sobie broń . Znowu zagnali wszystkich do baraku komendantury , pozabierali nam tę broń . A ile przy tym było pracy . Najpierw wypalić lufę , później zrobić kurek i taki długi cyngiel , a na koniec taki długi tłok , który ten kurek wypychał , i się strzelało . Szkoda było tego , ale całą broń zabrano . Potem zebrano rodziców , bo podejrzewali , że to rodzice uczą tego wszystkiego , i powiedziano że nie będą dzieci puszczane do rodziców . Mieli wpłynąć na dzieci , żeby nigdy nic takiego już nie robiły .

Na lato wracało się do domów na te żywicowanie . Znowu zaczęło się zbieranie tej żywicy , chodzenie od sosny do sosny , leczenie tych rąk po tej żywicy , a nogi poobcierane od tych trepów . Robiło się takie trepy - spód drewno lekko wyżłobione , a wierzch z przybitej szmaty . Dużo w takich butach to się człowiek nie nachodził .

Jak te lato minie trzeba ponownie do szkoły . Ale wracając jeszcze do wiosny . Wiosną w tych górach przepiękne sasanki rosły . Ledwie śnieg zejdzie , jeszcze te strumienie , że wszędzie szumi , że wszystko trzaska i pęka , z gór lecą jeszcze te całe odłamki tych lodów . A tu sasanki.

Tak kolorowo, tak bajecznie , że oczy aż grają . Nie do opisanania .

Mieliśmy ze sobą , był razem z nami wywieziony kapelan wojskowy . On też był leśniczym , a w wojsku był kapelanem . On starał się tam odprawiać majowe , a my jako dzieci to chodziłyśmy , zrywałyśmy te sasanki robiłyśmy ołtarze . Ktoś doniósł do komendantury . Przyjechał komendant . Rozrzucił nam to wszystko . A ołtarz ładnie przybrany . Gałązki brzozy , sasanki , inne kwiatki . Przyjechał komendant i krzyczy - że to zbiorowisko , że nie można żadnych zbiorowisk organizować . Zabrał tego kapłana , posadził . To był Małecki . Ksiądz Małecki . On chyba 10 dni odsiedział , zanim go wypuścili , za to , że był kapelanem . Skończyły się te nasze nabożeństwa . Później każdy przynosił kwiatki sam , i przybierał . Zbierać się nie można było . Więc przychodziliśmy po dwie , trzy osoby , modliliśmy się i odchodziliśmy . Potem następne , potem następne , żeby nie było żadnego zbiorowiska . Później i tego zaniechaliśmy , bo jemu ten pajok zabrali , mimo że pracował , za karę , to co innego wymyślono .

W 1943 roku objęła nas amnestia . Puszczono nas spod tej komendantury . Komendant był tylko jako dozorujący , a można już było bez takiego glejtu poruszyć się , by coś kupić lub wymienić . No ale przez te trzy lata to już człowiek tyle tego wymienił , że już nie było w czym chodzić . Nie było już ani poduszek , ani ubrań . Skoro widać było , że ktoś jest głodny , to się oddawało za bezcen . Ale można było iść do tego kołchozu , i próbować coś komuś pokopać . To chodziłam najczęściej ja z bratem . Ten kołchoz oddalony był od nas ok. 30 km. . Za pomoc w ogródku dostawaliśmy ziemniaków lub innych produktów . Rodzina pracowała , a myśmy mogli już iść i pracować w kołchozie , a wieczorem znowu te 30 km. tymi ścieżkami do domu . Idziemy , zdaje się , że dobrze . Tu powinna być ta gajówka , i mieszkać ten obieszczyk . A tu nie ma . Zbłądzimy . Chodzimy , szukamy , gdzieś tam trafimy nie tam , dobrze jak na dobrego obieszczyka . Bo co ileś tam kilometrów mieszkał w lesie taki obieszczyk , który pilnował lasu przed pożarem . Tam straszne pożary były . Latem , to wyładowania przy burzach były tak silne , że sosny pękały . Pożar za pożarem . I to oni od

tego byli , żeby ludzi zbierać do gaszenia lasu . Jak trafimy na takiego kogoś to nas wyprowadzi , wskaże drogę , którędy Iść , i trafimy tam do domu . A w drodze nigdy nie wiadomo co wyskoczy , przecież dziki kraj . Przyjdziemy , przyniesiemy wiadro ziemniaków , czy po główce kapusty . To najpierw jak bierzemy , to człowiek zdaje się więcej by wziął , ile można a później to co raz ciężej i ciężej . Ledwie możemy donieść . Ale już jak przyniesiemy , to w domu wielkie święto , bo mama może nam ugotować po ziemniaku . Wybierze takie średnie , żeby każdy dostał taki sam .

A wywieźli nas bez żadnej łyżki , bez talerza . Kupić trzeba było po drewnianej miedzce i łyżce . A miski zwykłe takie , żłobione . To jak zupa była to jedną taką miareczką nabierała , bo każdy chciał , żeby było równo , a jak nie , to żeby dla niego ciut więcej . Mama starała się żeby każde z nas wytrzymało do końca . To latem było lżej . Do września .

We wrześniu przychodzi powiadomienie do ojca , że zostaje zabrany do wojska . Na front . Do polskiego wojska . To był normalny pobór , z tą różnicą , że przydział był do armii polskiej . Wcześniej był pobór do armii andersowskiej . Anders zbierał , i wywiózł wszystkich . Więc nam tam znowu przykrócili cugli . Znowu traktowano nas jako przestępców , bo tamci uciekli . Więc tu przyjechali pod konwojem , ojca zabrali , a myśmy jeszcze nie zdążyli wrócić z pracy . I znaleźli , gdzie był , a to przecież po lesie się chodzi . I kazali do woreczka włożyć tylko zmianę bielizny , bo to jedno się uprało , a drugie na sobie . Tyle tego było . Miał ojciec zabrać tobołek i zgłosić się do Talmienki do poboru , do armii .

Jeszcze tylko pożegnał się z nami , jak myśmy wrócili z lasu . To była szósta po południu , Ojciec pożegnał się z nami , i zaraz poszedł do tej Talmienki . A w tym czasie zachorowała mama . Ciężko zachorowała . Nie ma komu zawiadomić ojca . Ja się wybierałam , bo siostra musiała pracować . Powiedzieli nam , że przez miesiąc będzie w Bernaule przechodzić jakieś szkolenia . Więc ja się tam wybrałam . a pieniędzy nie miałam . Biorę ze sobą wiadro borówek , i jadę do Bernaułu . A ten Bernauł był od nas oddalony 600 km. Przygotowałam się i w drogę .

Od nas z tego uczestka Zajskiego , tam gdzie jest tor pierwszego pociągu to było ok. 45 km. Tam trzeba dojść , żeby próbować wsiąść do pociągu . Jak wzięłam to wiadro borówek , szłam 25 km. do najbliższej takiej stacji wąskotorówki . To było przy jeziorze Kruglanka . Tam był tartak i jeździła ciuchcia , którą nazywano kukuszka . Podeszłam , i proszę tego kierownika , żeby mnie chciał zabrać , bo ja muszę zajechać do Bernauku . A on mówi - a gdzie ty ten Bernauk znajdziesz , jak ty tam trafisz . A ja mówię - muszę trafić , bo tam mój ojciec zaraz pojedzie na front , a ja chcę jeszcze zajechać do niego , żeby go odwiedzić . No cóż - mów - wsiadaj . Wsadzili mnie do tego parowozu . A tam miejsca za dużo nie ma , Tam są ten , który kieruje , ten który sypie węgiel , i ja , ponieważ byłam bardzo drobna i szczupła . Nie wyglądałam wtedy na te swoje 13 lat . Przywieźli mnie do tego Kuroczkina . W tym Kuroczkinie mi mówią - idź poproś , to jak cię zaborą , to pojedziesz jeszcze 13 km. , Do 13 rozjazdu a tam to już będziesz musiała kombinować inaczej . Więc ja znowu idę , proszę . Ci już nie wzięli mnie do środka , tylko powiedzieli , że jeśli chcę to mogę sobie usiąść na takich deseczkach przy buforach . A tu we wrześniu , to już mrozy były . Siadłam ja na tej ławeczce , trzymam się za te bufory , 13 km. podjechałam . I z wiadrem na plecach . Zrobiłam sobie taki plecak z worka , i trzymałam tam te wiadro z jagodami , i tak jechałam .

/ Koniec zapisu - kaseta , część I strona 2 . Zapis - kaseta , część II/

Wreszcie dojechałam do tego 13 rozjazdu . Na tym 13 rozjeździe zatrzymywał się pociąg , ale tylko na chwilę , bo to był towarowy skład . Kiedy tak trochę zwalniał , wskakiwało się na tzw. breg . Tylko tam można było wskoczyć . Wskoczyłam na ten breg . Oprócz mnie wskoczyła tam także moja znajoma . Rodziców kolegi córka . Ale dużo starsza niż ja . Ona była chyba rocznik 1923 . Ale jak zobaczyła , kiedy do niej zaszłam , że jadę , to też postanowiła jechać . Jej z kolei został wzięty do wojska jej brat . I pojechałyśmy razem do tego Bernauku .

Kiedy dojechałyśmy na miejsce , trzeba było wskakiwać w biegu na

dworcu towarowym , i podejść kilka kilometrów . To był pociąg towarowy , i na dworcu osobowym nie zatrzymywał się . Wyszliśmy z dworca , i idziemy szukać gdzie jest Wojenkomat . Pod wieczór znalazłyśmy do miejsce , i pochodzimy . Ale gdzie tam . Nie wolno nawet podejść . Pogonili nas strażnicy z bagnetami .

A przy okazji okazało się , że takich jak my , zebrało się dużo więcej . Wielu nie zdążyło się nawet pożegnać przed odejściem . Jak byli złapani , tak i od razu ich dostarczono .

Jak już zapadł zmierzch , była taka szarówka , postanowiłam spróbować raz jeszcze . A nie miałam ani ja , ani Ala gdzie spać . Ona postanowiła przygotować nam spanie w łóżkach ziemniaczanych . Trochę je rozgrzebać , tak aby usiąść , i grzać się nawzajem w nocy . A ja poszłam , i zaczęłam prosić jakiegoś tam starszyny , że tam jest mój papka , że ja chciałam się z nim zobaczyć , i pożegnać . A on pyta się mnie , skąd ja jestem . A ja mu tłumaczę , że z Oziera Zajskowo . Oзеро Zajskoje , Barak Zajskij , Sielsowiet Kuraczański , Karmieński Rajon , Nowosybirskaja Oblast . A on do mnie - no kak ty prijechała , skolko ty imiejesz let ? Imiejesz ty dziesięć let ? A ja mówię - ja mam 13 lat . A jak raz oni w wszyscy maszerowali na apel wieczorny . To on do mnie mówi - smotri , da widzisz gdzie twój tatko ? A jak go miałam zobaczyć . Daleko , wszyscy przemundurowani . A on poszedł w takich lnianych spodniach , i koszuli , z taką długą brodą . Wyglądał jak dziadek , a nie mężczyzna 42-letni . I tak tłumaczyłam temu starszynie , że z długą brodą . A on mówi , że tu już wszyscy są pogoleni . Ale przez chwilę się zastanowił , i mówi - ty czas podaży . Patrząc , przyprowadza z długą brodą , ale pana Kurażyńskiego . Też z naszego uczastka , i też z brodą . Nie - mówię - to nie mój tata . A on był szlachcicem z okolic Wilna . Zobaczył mnie i mówi - a panienka to skąd tu się wzięła ? A ja mówię - ja przyjechałam do tatusia , ja chciałam się widzieć z tatusiem , i nijak nie mogę go znaleźć . A sama - pyta się - przyjechałaś ? Mówię - sama . To nie możliwe - mówi - jak ty nie zabłądziłaś , jak ty tu trafiłaś . Pytałam - mówię - to trafiłam .

W tym czasie poszedł ten starszyna , i coś tam zaczął tłumaczyć tak , że zabrali mnie na dyżurkę . Zabrali mnie tam , i przyprowadzili drugiego z brodą . Tę już był mój tata . A oni mieli takie brody , że szkoda było im je golić . Powiedzieli , że póki nie na froncie , to możecie chodzić z tymi brodami . Tatuś zobaczył mnie i mówi - Boże , a skąd ty się tu wzięłaś dzieciaku ? A ja mówię - że jest jeszcze ze mną Ala Chuziorkiewiczówna , i jest jeszcze Mirka Pasemkówna , i chyba jeszcze ktoś . Bo oni tak jak my szwędali się pod tymi koszarami . To dobrze - mówi - to ja powiem im przy okazji , żeby choć bliżej podeszli . A budynek był zagrodzony ostrokołem , i sztachetami . Pomiędzy nimi były takie wąziutkie szparczki , żeby porozmawiać . A płot tak wysoki , że przejść nie można . A w tym czasie podszedł starszyna , i to nawet z gwiazdkami , i mówi - no jak ty aż tutaj odnalazłaś ojca , to jutro zwolnię ci ojca , i niech on zaprowadzi cię do ZOO . A teraz jeszcze kilka minut możesz pobyc z tatą , tylko nie daleko . A tato mówi - ty poczekaj , to ja ci przyniosę chleb . Im w wojsku już chleb dawali . Jak poszedł , to przy okazji powiadomił i pana Pasemkę , powiadomił Ryśka Koziarkiewicza brata Ali . Powiadomił ich wszystkich , przyszedł do mnie , i mówi do tego starszyny - tutaj są jeszcze z naszego udziału ludzie . Jechali tak daleko , żeby się z nimi zobaczyć . No sztoż - mówi ten starszyna - dawaj . Tylko wylegitymowali tych dorosłych , czy faktycznie tak się nazywają , i pozwolili im pobyc trochę . A jak ojciec się dowiedział , że nie mamy gdzie spać , tylko na tych łęczkach , to powiedział starszynie . A on mówi - tutaj nie daleko tych kazarmow jest taki dom , który przyjmuje na noc . Z tym , że trzeba się nastawić na kilka już śpiących osób .

Wracam do Ali i mówię jej o tym domu . Poszłyśmy , znalazłyśmy go tak jak nam opisano - z ~~W~~zabionymi okiennicami . Stukamy , a tu już noc . Mówimy , że przyjechałyśmy z daleka do tych kozarm , a chciałybyśmy przemocować . Ale jest tylko jedno łóżko . A my mówimy - nam nie przeszkadza , my dwie szczupłe . Drzwi się otworzyły , wpuszczono nas do środka . Ale my - mówimy - nie ~~mamy~~ mamy pieniędzy . Mamy tylko borówki . Ta kobieta ucie-

szyła się bardzo tymi jagodami , przenocowała nas , dała nam jeszcze kłopotoczkę popić . Tato dał chleba , to zjadłyśmy go , i już dobrze było .

Na drugi dzień skoro świt ja już wstałam . Tatusiowi załatwiono bilety do ZOO , więc wybraлиśmy się tam . Po drodze pokazał mi miejsce gdzie pracuje . To był pimokatnyj zawod . A pimy - to takie walonki . Tłoczone , twarde , szare . Jak się chodziło w nich , to noga ni jak się w nich nie zginała . Takie rury ze stopami . I w tym się chodziło , żeby nogi nie marzły . Tam pracowali ci poborowi do momentu wyruszenia na wojnę , na front . Wieczore i rano odbywały się ćwiczenia , a w dzień pracowali . Pokazał mi ten pimokatnyj zawod , i poszliśmy do ZOO . Miałam tą frajdę , że do trzeciej po południu byłam z tatusiem . Potem trzeba było wracać . Tato odprowadził mnie jeszcze do pociągu . A ponieważ z nami była Ala , to i ją . A powrót był taki sam . Na bregu . Biletów przecież nie ma . I w taki sposób wróciłam do domu .

A w tym czasie , kiedy już byliśmy wolni , zezwolona tacie kupić krówkę . Taką małą symeryjską krówkę . Trochę większą od kozy , ale krowę . Ja wracam do domu , a tam wilki krowę zjadły . A wilków to tam była masa . Aby się od nich bronić jak się szło , to brało się szpadel , czy łom , i jak się ~~walowało~~ ^{waliło} po sosnach , to echo niosło się takie po górach . Do tego zapalało się takie łuczywo , oklejane smołą , i szło się z tą pochodnią łomocząc tym prętem po sosnach , i tylko patrzyło na te zielone migające to tu , to tam , ogieńki . Ale bały się , więc można było chodzić . Ze zjedzonej krowy została tylko nogi , rogi i ogon . I co tu robić . A umówiliśmy się z tatą , że przyjadę raz jeszcze z bratem . Siostry to nie puszczą , ale brata , który był dwa lata młodszy ode mnie tak . No co zrobić . Nie ma krowy , to nie ma . Tacie nie powiemy , bo będzie się denerwować niepotrzebnie .

Jak przyjechałam do domu , żeby zabrać brata , mama dalej chorowała . Zabrałam go ze sobą , Przyjeżdżamy my do Bernauku , lecz ich już zabrali , tak że z niczym wróciliśmy do domu .

Po moim powrocie , rozpoczęliśmy starania o przeniesienie . Nie ma

ojca , mama chora , wilki zjadły krowę , potem zjadły psa , zjedzą i nas. Prosimy , żeby nam zezwolili stamtąd wyjechać , żeby przenieść się gdzieś bliżej , do jakiegoś osiedla . Pozwolono nam przenieść się do tego Ozierra Kruglanka , tam gdzie ja szłam piechotą , gdzie chodziła ta kukuska . A tu , niby nic człowieka nie ma , ale zawsze . To kilka wiader ziemniaków wykopało się z tego poletka , to jakiś materac napchany sianem , to jakiś koc , jakieś kołdry stare , jakieś poduszki zebrał się tego sporo . A na plecach tego tyle kilometrów nie przeniesie się . Dowiedzieliśmy się , że w tajdze mieszka taki czołdon . Czołdoni , to tacy ludzie , którzy byli bardzo dawno zesłani , i którzy osiedlili się tu na stałe . A zostało ich już bardzo niewielu . Bo to malaria , cholera dziesiątkowały ludzi , oni zaś jakoś przetrwali . Z tego co nam mówiono , mieszka nad jeziorem w ziemiance , sam jeden , bez rodziny . I on miał byka . I tym bykiem jeżeli ktoś się prznosił , to przewoził rzeczy . Do niego się szło , i jeżeli się zgodził , to tym bykiem odbywał się transport .

Wybrałam się z bratem szukać tej ziemianki . Idziemy , pytamy , szukamy tego czołdona . A to już jesień , to wokół tylko kalina i kalina. W końcu widzimy , idzie jakiś człowiek . Pytamy go czy nie wie gdzie to jest . A on mówi , że właśnie wraca od tego dzida . Idźcie tą ścieżką - mówi - ona słabo widoczna , ale doprowadzi . Dał nam jedną pochodnię , i my z tą pochodnią idziemy , uważając , żeby tej ścieżki nie zgubić . A ta ścieżka miała prowadzić nad jezioro , aż do tego dzida . A tam - mówi nam ten człowiek - on wam od razu drzwi nie otworzy . Musicie powiedzieć wszystko pod drzwiami , o co wam chodzi . Potem dopiero on wam otworzy . Poszliśmy . A do tego miejsca było ponad 30 km. tajgą . Jak już trafiliśmy widzimy taki maleńki błyskający otworek . Światełko takie . Stukamy do drzwi , on nie otwiera , milczy . My stukamy dalej . Aż wreszcie odzywa się - a kawa tam czort niesiot ? My Polacy - mówimy - my chcemy , żeby on nas przeprowadził . Nam powiedziano , że on tu mieszka , że przeprowadza . A od kuda - pyta . My mówimy - z Zajskowo na Wtoroj Szpałzawod . Choroszomówi - pierewiezu . No to szto mnie budiet nrawiśsia u was , ja zabieru .

Dobrze - mówimy - ale my prawie nic nie mamy . Zgoda - mówi - ale jeżeli przewozicie dobytek , to znaczy , że coś macie .

Na drugi dzień , prowadzimy tego dzieda . Do wołu przyczepiony wóz - dwa dyszle i takie dwa krzyżaki na tych dyszlach , a do tego przyczepione dwa koła z wielkimi szprychami . Jak załadowaliśmy , to ten byk ledwie lezie . Jak pod górę , to każe pchać . I tak pchamy tę cielegę jego . Pod wieczór dotarliśmy na te Zajskoje . Tam załadowaliśmy ziemniaki , te swoje rzeczy które nam zostały , no i mamę . Mama była tak obłożnie chora , że nie chodziła prawie wcale . Z mamy zostały skóra i kości . A dziad mówi - nie , ona sama pajdziot . A my mówimy - jak pajdziot , ona nie da rady . Będziemy pchać . I tak jechaliśmy . A to tajga , teren górzysty . to my całą rodziną pchamy tego byka . A ten jak się zaprze , to ani rusz . Dziad ciągnie tego byka , a my pchamy . Jechaliśmy tak całą noc . Nad ranem dotarliśmy na miejsce . Prosimy , żeby dali nam jakiś kawałek kąta w baraku . Dali nam malutki pokoik , ale dobrze , że osobno . Przenieśliśmy swoje rzeczy . Kiedy wszystko wnieśliśmy , dziad zobaczył zegar , taki zwykły budzik . Wot eto wy mnie oddacie - mówi . Nie ma rady . Pytamy , czy może trochę rubli zamiast . Nie - mówi - mnie eti czasy . Zabrał ten budzik , ale jeszcze rybę suszoną nam dołożył za te czasy .

A on nad jeziorem miał swoją łódkę i sobie ryby łowił . A łódki te nazywały się tam duszegubki . To były takie dżubanki z grubego pnia . Takie jak kajak , krótkie dżubanki . I on do tej duszegóbki siadał , i łowił sobie ryby . Wolno mu było , bo był wolno osiedlony .

Tam na miejscu , pogoniono nas do pracy . Front już się zbliżał , więc siostrę pogoniono do robienia torów i bocznic wojskowych . I ona jako najstarsza tam pracowała . Mnie i brata zabrano do tartaku wywozić taczkami trociny . A tych trocin były ogromne góry . A tam jak tylko my przyjechaliśmy , a front podchodził pod Uzbekistan , to wszystkich tych niepewnych politycznie Uzbeków , Tadżyków , Kałmyków przesiedlono do nas . Tamci masowo umierali na tyfus . A to byli straszliwi brudaszi . I oni te ciała zagrzebywali w trociny . A nam kazano wywozić te trociny . A jak

zaczynamy tylko kopać , co rusz wykopujemy trupa . Wytoczy się ten trup , sturla się z góry tych trocin . To my idziemy meldować majstrowi , że się trup wytoczył . On goni tych Kałmyków , żeby go pogrzebali , a oni znów z drugiej strony tej góry trocin zakopią . A tu szaleje epidemia tyfusu . Mi na szczęście nic się nie stało , ale brat się zaraził . Zachorował . A woda taka , bo to jak raz na roztopach było , że zewsząd spływało do studni i tą wodę trzeba było pić .

Mama początkowo leczyła sama , pamiętając stare przepisy . Bo jak nas tylko wywieźli , to na miejscu zabrano wszystko , gdzie cokolwiek napisane było po polsku . Wszystko . Nawet dziecinne pamiętniki , z którymi chodzono do szkoły . Jak ja chodziłam do drugiej klasy , to co ja tam mogłam zapisać . Zabrano także książkę Kneipa "Leczenie wodą" . Jak myśmy wyjeżdżali , zabrała ją ze sobą . Z tym , że mama pamiętała część rad . W tym jak zbijać temperaturę wodą . To trzeba było zawijać w mokre ręczniki i prześcieradła , i tak brata ratowała . A wszyscy mieszkaliśmy w tej małej klitce . Razem z bratem spaliśmy na jednym posłaniu , i nas jakoś nie wzięła choroba . Wreszcie brata zabrali do szpitala , do Kuroczkina . To było 25 km. od nas . Później zabrano i mamę . W domu zostałam ja jako najstarsza . Siostra pracuje przy torach , a ja przy domu .

Od tego dnia rozpoczęła się moja wędrówka . Jeden dzień pilnuję brata i siostry w domu , na drugi dzień idę dowiedzieć się , czy oni żyją . Zайдę do tego szpitala , a tam nie chcą wpuścić . Szpital zakaźny , to nie wpuszczają . Ja to z tej , to z tej strony staram się wejść . W końcu zainteresował się mną lekarz , staruszek taki , z brodą . Pyta się mnie - kogo ty szukasz ? A ja mówię - szukam mamy . Jak nazwisko - pyta się . Kowalska Maria - mówię - i jeszcze brat , Kowalski Jerzy . A gdzie on ? Na zakaźnym leży - odpowiadam - a mamę zabrali z powodu całkowitej anemii . A on mówi - poczekaj , to do mamy ja cię zaprowadzę , ale do brata nie . Do brata to ja cię tylko podsadzę , ty go zobaczysz . Ja zajrzałam przez taki judaszyk , widzę brat leży nieprzytomny , i dużo innych dzieci . To ja się pytam , czy on wyzdrowieje . A to nie wiadomo . Może wyzdrowieje .

Mamę - mówi - będziemy ratować . A potem się pyta - a kto ty jesteś ? Polka - odpowiadam - jestem . A ja - mówi - jestem Żydem polskim . Moje nazwisko Lebensztajn . A to był taki staruszek . Może on nie był takim starym , na jakiego wyglądał , lecz mi się wydawał około 70-letnim . Mamę leczył , jak mi mówił , czarodziejskimi tableteczkami . One były żółte , więc to była przypuszczalnie witamina C . I tym podbudowywał mamę . Trzymał ją w izolatce , choć nie można było , bowiem były tylko dla tych przysyłanych z frontu . A ja tak co drugi dzień chodziłam do szpitala , a potem szłam do piekarni , gdzie pracowała koleżanki matka , i prosiłam o rozczyń do ciasta . Później ucierałam trochę ziemniaków , mieszałam to z tym rozczyńem , i jak trochę spulchniało , to im nosiłam , żeby mogli jeść . Część tych placków zostawało dla rodzeństwa , a reszta do szpitala mamie , i jak się polepszyło , to bratu . Teraz wiem , że to było dobrodzieństwo ze strony tej Dorochovej . Ona mi zawsze dała tą szklaneczkę rozczyńu . I jak to da , to te ziemniaki zakwaszone choć trochę pulchniejsze dla nich do jedzenia . I tak co drugi dzień nosiłam te placki . A już wracając do domu czasem udawało mi się podjechać tą kukuszką na bregu . Ale ona nie jeździła ani codziennie , ani o stałej porze . Jak Bóg dał . A jeżeli wyrobiłam się z czasem , to chodziłam czasami pomóc ludziom pokopać ogródki , czy działeczki . Poznałam taką babuszkę , jak chodziłam tak w poszukiwaniu tej pracy , taką starowinkę . A co ty dzieciaku - pyta się - potrafisz robić ? A ja mówię - potrafię kopać . No to ja ci dam szpadel a ty ile umiesz to pokop . Ja tam szczerze kopałam . Tak kopałam , że sobie burchle porobiłam . Ale ile tam nakopię , jak tu szpadel z rąk leci . Wreszcie ona przyszła , zobaczyła plon mojej pracy , zawołała mnie do tej swojej izdebki , dała mi ziemniaków gotowanych w łupinkach i naparzyła mi czajku . A ten czaj zrobiła na obierkach jabłek . To był taki kompotik . Bez cukru , ale sam zapach tych jabłek był cudowny . Jak mi to smakowało . Zjadłam ja te ziemniaki , popiłam tym kompotem . Dostałam jeszcze dwa wiadra ziemniaków . Ona pomogła mi założyć je przez ramię na plecy , i choć uginają się pode mną nogi doszłam na stację , do tej kukuszki . Jak już

się tam dostałam , proszę tego kierownika pociągu , tego dyspieczera , że ja muszę dojechać do domu , że ja tutaj chodziłam do chorych .

Jak już dojechałam do domu , jak już wysiadłam , zaniiosłam te ziemniaki , znowu ucieram i te dzieci z kolei karmię . A siostra miała już wtedy 4 i pół roku , a brat 6 i pół . Jak jechałam do mamy , to ich zostawiałam samych , zamykałam dom , i na noc wracałam . Jak już siostra poszła do pracy w tartaku , to co dzień wracała do domu , nie tak jak przy tej pracy przy sypaniu ramp wojskowych .

Wreszcie mnie ponownie zagnano do wożenia tych trocim , jako nieletnią , a siostra pracowała w tartaku , przy produkcji szpałów . Potem, po dwóch miesiącach przywieźliśmy brata ze szpitala do domu , mamę też już przywieźliśmy i mieliśmy w domu dwoje rekonwalescentów do opieki . Ale dzięki temu doktorowi dochodzili do siebie . On wiedział , że Jurek jest mamy synem , bo mama nie wiedziała , że Jurek też tam jest . A potem jak powiedział , to jak już mogła mama , to chodziła do niego . I tak dotrwaliśmy do 1945 roku .

W 1945 roku zimą przeprowadziliśmy się na tzw. 13 rozjazd , skąd biegnie już szeroki tor , i gdzie ja już wsiadałam jadąc do Bernauku . Przenieśliśmy się , bowiem siostra dostała skądś wiadomość o rejestracji Polaków , i możliwości powrotu do domu . A my nie mamy nic . Zabrane metryki , zabrane dokumenty , nie ma nic , żeby udokumentować swoją polską narodowość . Kiedy siostra zajechała do Bernauku poproszono ją o dowód , że jesteśmy Polakami . No a skąd wziąć , skoro wszystko zabraliście . U nas niczego niet - odpowiedzieli . I tak zaczęła się pisanina . Piszemy raz do księdza do narewki , bo my byliśmy chrzczeni w Narewce . Nic , Miesiąc , dwa , nie ma odpowiedzi . Mama drugi raz pisała , i trzeci , nie ma odpowiedzi . Piszemy do ojca . Ojciec był na froncie , w zwiadzie . Ale do nas listy docierały , a od nas wcale . I nie wiemy czy żywy , czy ranny , czy co się z nim dzieje . Co kilka miesięcy otrzymujemy taki list trójkątny , że na razie jestem żyw i zdrów , czego i wam życzę . I znak , że cenzura wojenna przejechała . Napiszcie czemu nie piszecie . A nikt nie

powiedział mu , gdzie się znajdujemy . A on pisał i na Zajskie , i do tego Wojenkomatu , skąd był wywieziony , żeby się dowiedzieć gdzie my jesteśmy , gdzie żyjemy . A od nas nie otrzymywał żadnych wiadomości . Aż do tej naszej Ali przysłał list brat . Ryszard Koziarkiewicz , który był razem z ojcem zabrany . I on pisze , żeby powiadomić panią Kowalską , że mąż jest zdrowy i prosi o kontakt .

/Koniec zapisu . Kasetę II str.1 . Zapis.Kasetę II str.2 . /

Mama napisała do tego Ryska , żeby przekazał tacie , że my piszemy do księdza o dokumenty , ale nie otrzymujemy odpowiedzi . Prawdopodobnie będą powroty , lecz my nie mamy czym się wylegitymować . Ale i ojca też nie łatwo odnaleźć . Bo w zwiadzie , to ciągle z przodu , i z przodu . A Rysiek był w artylerii , to też nie mógł za bardzo się poruszać . Dopiero gdzieś pod Warszawą , chyba w Radzyminie , on dorwał ojca i powiedział mu o tym , żeby pisał do księdza , aby ten wysyłał metryki wszystkie . Ojciec napisał do księdza , a ten mu odpisuje , że już trzykrotnie wysyłał metryki , że widocznie my ich nie otrzymujemy .

Ale w międzyczasie , taka Rosjanka , u której mieszkaliśmy na tym 13 rozjeździe , Tatiana Ogurejewa , mówi - Marusia napisz na mnie , może do ciebie , na twoje nazwisko nie docierają , może mają ciebie na indeksie , i dlatego wstrzymują korespondencję . I mama tak i napisała , na tą Ogurejewą . I jaka była nasza radość , jak po miesiącu do nas dotarły te nasze metryki , i list od księdza , że wysyłał trzykrotnie , czwarty raz wysłałem mężowi , może od męża dotrą , a teraz wysyłam po raz piąty na te nowe nazwisko . I dopiero było zdziwienie jak siostra zaniosiła je do tej Talmienki , do rejestracji . A od kuda wy je wzięli - pytają się . A ona mówi - mi je przysłali z Polski . To oni proszą , żeby okazać kopertę . A siostra na to - ja koperty nie mam . Nam była potrzebna metryka , a nie koperta . I na kogo to było ? Na mnie - mówi . To pokręcili się , i prosi jeden z nich o te metryki . A siostra mówi , że owszem da , ale za pokwitowaniem . To oni znowu , że pokwitowań nie wystawiają . Nic to - mówi - to ja pojedę sama do Bernauku , jeżeli tu nie można tego załatwić . Więc

rad nie rad , dali te pokwitowanie , i dopiero nas wciągnęli na listę . Dopiero wtedy , kiedy mogliśmy udokumentować swoją polskość , w maju , powiadomiono nas , że może mama zgłosić się po odbiór dokumentów , oraz prowiantu na drogę , który nam wydadzą . Bo tak to był tylko pajok , ale nic więcej . Może kapusty trochę , lub ziemniaków , jak się zarobiło . To jak mama pojechała po odbiór tej żywności , to nam dali tego tyle , że jej jednej ciężko było to donieść . Tam było kilkanaście konserw rybnych , kilka okrągłych serków szwajcarskich , jakieś mleko w proszku , i coś jeszcze . To wydał już PUR w Bernaule , dokąd mama pojechała .

To było dla nas coś niesamowitego . Najpierw nam mama dała po troszeczkę , bo nigdy tyle nie jedliśmy . I tak po troszeczkę nas przyzwyczajała . I wreszcie przyszło powiadomienie , że 18 maja powinniśmy się zgłosić do punktu w Bernaule . Ale trzeba trafu , żebym ja zachorowała , i to z podejrzeniem duru plamistego , bo byłam cała w plamach . Później ten brat , który już chorował , też tego dostał . Ale , ponieważ niedawno to przechodził , to nie może znowu , bo jest uodporniony . Zaczęliśmy sprawdzać , i się okazało , że ta ryba w puszkach była zepsuta , i myśmy się tą rybą zatruli . Ból głowy potworny , a całe ciało w plamach , tak jak kora . Co robić ? Jeden taki pan , wileńszczak , pan Szumiński , mówi - zrobi im pani takie trąby z chust , wsadzi pani ich pod schody , żeby nikt ich nie widział z kręcących się . A tu ciągle chodzą , i sprawdzają czy wszyscy zdrowi , bo jak ktoś jest chory , to w Bernaule zabiorą do szpitala . A jeśli by zabrali mnie , lub brata , to koniec z naszym powrotem do domu . Mama trzyma nas pod tymi schodami , i tylko co raz nam pić przyniesie . A tam ciągle wszystko zasłonięte . Ja jakoś wcześniej z tego wyszłam , ale brat jak już trzeba się pakować do wagonów , cały w plamach . To brata wpakowaliśmy jako nasze mienie do wagonu . A jak my chorowaliśmy , to ani ja , ani brat , nic jeść nie mogliśmy . Tylko nam strasznie chciało się pić , a w drodze picia mało . A jechała z nami pani Julia , która miał ze sobą witaminy . Więc rozpuszczała je w wodzie , a my to pililiśmy . I tym nas podbudowywała . A od czasu do czasu miała tak

wymieszany ser biały z masłem , który trzymała w takim pojemniku , i ponieważ myśmy nic jeść nie mogli , to nas karmiła tym serem . Wreszcie , jak wyjechaliśmy z gór , i można było już opuszczać wagony,choroba nasza ustąpiła . Na kolejnym postoju , na Uralu , na jakiejś stacji towarowej, można było nabrać wody . Tam też wyszliśmy i my . Jeszcze na gumowych nogach , ale zawsze . I na tej stacji pobiegła po wodę także żona pana Szumińskiego . A tu niespodzianie pociąg ruszył . A on stoi , i macha rękami krzyząc - żona , to żona . Ale wiadra szkoda ! Ale ona dobiegła z tym wiadrem , i do ostatniego jeszcze wagonu , na breg wskoczyła . Na tym bregu dojechała do następnej stacji , gdzie przesiadła się do naszego wagonu . Innym razem ja i tego pana córka - Halinka Szumińska , też odeszliśmy za potrzebą , jak to dziewczynki , a tu znowu tuu ! i my już lecimy z powrotem do wagonów . I tak dojechaliśmy do Białej Podlaskiej . W Białej Podlaskiej już był punkt przeładunkowy . W Baranowiczach przeszliśmy kontrolę . Kazano nam oddać złoto i biżuterię . Nam , którzy nie mieli prawie niczego .

Drugi punkt kontrolny , był w Białej Podlaskiej . Tu rozdzieliliśmy się z tymi , którzy pojechali na ziemie zachodnie . Moja mama powiedziała nie . Mi było przykro , jak moje zabrano , ja nie chcę cudzego . Ja wracam na swoje śmieci . A my nie wiedzieliśmy jeszcze , po której stronie nasz dom .

W Białej Podlaskiej dostaliśmy grosiki , żeby sobie coś kupić . Więc mama kupiła pierwszy raz kiełbasy , słoniny i jajka . To ta najmłodsza siostra Hela , która miała roczek i kilka miesięcy jak nas wywieźli to nie wiedziała co to jest , jak mama nam to przyniosła . Mamusiu co to - pyta się . A mama jej tłumaczy - to , to jest jajko , to , to jest słonina . A co to jest słonina ? To jest taki tłuszcz do jedzenia - mówi mama . A to co jest - znowu się pyta . To jest kiełbasa . Cóż zrobić . Myśmy to wiedzieli , a ona biedna , nigdy tego nie widziała . I to było jej pierwsze zetknięcie z mięsem i wędliną .

29 czerwca , przyjechaliśmy do Hajnówki . 28 czerwca przekracza-

liśmy granicę , a 29 po południu byliśmy w Hajnówce . Granicę przekraczaliśmy wczesnym rankiem , a w Białej Podlaskiej byliśmy koło południa . A podróż nasza rozpoczęła się 18 maja 1946 r. Wprawdzie po drodze były od czasu do czasu przystanki , ze względu na transporty wojskowe , po dzień lub dwa , ale jechaliśmy do Polski . Baliśmy się tylko , żeby nas nie zawrócili . I tak dotarliśmy do PUR-u w Hajnówce .

W wagonach , jak wracaliśmy , zagęszczenie było bardzo duże . Na naszych pryczach , w tym jednym wagonie , byliśmy my , Szczygły , i państwo Szumińscy . Na dole Baranowscy , taka pani Basia , nazwiska nie pamiętam , i jeszcze trzecia rodzina . I po drugiej stronie tak samo . Ale prycze w tą stronę były tylko dwupoziomowe , a w czasie wywózki trzy , tak że człowiek mógł tylko leżeć . W wagonach był tłok , lecz były już one otwarte , i jasne . Nie tak jak wtedy , kiedy byliśmy cały czas zamknięci , i bez wody .

I tak cało i zdrowo powróciliśmy do Polski . Kiedy nas wywozili najstarsza siostra miała 12 lat . Waleria jej było . Ja byłam druga . Następnie dwóch braci Jerzy i Eugeniusz , i siostra Helena .

A ojciec w tym czasie był jeszcze w wojsku . Dopiero później do nas dołączył . Po wojnie ojca oddelegowali jako zaopatrzeniowca na tyły . On jeździł w teren i zbierał żywność . Tyłu ich było , że co raz innego wysyłali . To było na lubelszczyźnie . I jak tylko wysłają w teren , zaraz przepadali . A partyzantki tam dużo . Ale poszła pogłoska , że ten starszy sierżant w mundurze , to jest sybirak . Tylko jest zmuszony do tego . I tylko on jeden dostarczał do końca , tę żywność dla wojska . Opowiadał kiedyś - jadę samochodem , i słyszę te przebieganie przez drogę . A on , jak jechał , to nigdy nic nie odbierał siłą , tylko mówił - słuchajcie , oddelegowano mnie . Ile możecie dajcie . Wojsko jeść musi . Jeśli mnie zabijecie , przyjdzie inny , i i tak zabierze . A tyle co dla wojska .

Ale zaraz zaczęły się szemrania , że on ma kontakt z partyzantką . Jak on pojedzie , samochód zostanie , kierowca wraca , i pomagier wraca . Jak wysłają innego , nie ma , Zmiotą . A ile razy było tak , że zabiorą

samochód , zabiorą kierowcę , a ojca puszcza . A UB zaraz na dochodzenie bierze . To ojciec mówił nie raz - no nie wiem . No to nie puśćcie mnie . Zabijcie , albo coś zróbcie . Wy wiecie , że ja wróciłem z Syberii , że z tamtąd mnie powołano . A ludzie to wiedzą , bo ja tego nie kryję . Jak idę tam , to mówię jak tam było , co ja robiłem , skąd ja wracam . No to wreszcie nawet UB przekonało się do niego . Jak pojedą z nim razem , on wróci cały . Pojadą bez niego - nie ma . To proponowali nawet , żeby tu sprowadził rodzinę . Nie - powiedział - tu jest niebezpiecznie , i ja tu pracuję . I dopiero po półtorej roku został zdemobilizowany . A tak , to tylko na soboty i niedziele do nas przyjeżdżał .

Mój ojciec Marian , pochodził spod Żyrardowa k. Warszawy . Mama , pochodziła z Nowogródka . Mama była nauczycielką , a ojciec leśniczym . Wcześniej był w Legionach . Jako chłopca zabrali jego do kopania okopów Rosjanie w czasie ofensywy . Później on zwinął żagle , bo w tym czasie zmarła mu matka , zmarł mu ojciec . Została siostra i brat . Brata zabrali też do tych okopów . Ale on uciekł . Miał już wtedy 17 lat , szedł mu 18 rok , więc uciekł . Trochę był za młody , ale poszedł .

I jak jego w tym Wojenkomacie zabierali na front , i się pytali , co on robił , to on powiedział , że był Legionistą . I opowiadał gdzie walczył , jak gonił ich pod Kijów , jak ich gonili . A raz , to nas trze - opowiadał - całą waszą sotnię do niewoli wzięło . A później puściliśmy , bo nie chcieliśmy przelewu krwi , to wiali na tych koniach . A jeden zamyslił się , i mówi - ty znajesz , że ja tam tożę był .

I jak się już wszystko ustatkowało , to ojciec wrócił do Puszczy Białowieskiej pracować jako leśnik , i tutaj pozostał . I tak wróciliśmy wszyscy na stare śmiecie . A ojciec tyle razy był ranny . Słuch miał bardzo słaby , ręka była kontuzjowana , tak że po wojnie to był już trochę strzęp człowieka . To wtedy oddelegowano go do zaopatrzenia . Nie zwolnili go , lecz do końca trzymali .

A potem , to już normalne życie . Szkoła , praca , dzieci .

"Proszę mi dokładnie opowiedzieć , jak wyglądały normalne zajęcia lekcyjne w takiej szkole ."

Z początku były takie , że siedział w rogu milicjant , enkawudzysta , siedziała w rogu pani , która nas pilnowała , i nauczycielka Julia Grigoriewna . Ona nam mówiła jakieś słowa , i kazała powtarzać . Ktoś łapał , ktoś nie łapał , i tak szło . Jeżeli słabo łapałeś , to ona zostawiała po lekcji , i trzeba było powtarzać te wyrazy , te słowa , żeby się nauczyć ich na pamięć . Żeby załapać język rosyjski . Ale to było po to robione , żeby zruszczyć , żeby zapomnieć polskiego języka . Potem nie pozwalano absolutnie na rozmowę po polsku .

Mnie zabrano do drugiej klasy , do tej w której się uczyłam , zanim mnie wywieźli . W drugiej klasie była matematyka , była nawet przyroda , geografia . Matematyka była na wyższym poziomie , bowiem musiałam się troszkę przykładac . U nas w drugiej klasie było dodawanie , odejmowanie , trochę mnożenia , a tam całe mnożenie i dzielenie , trzeba było już znać tabliczkę mnożenia na pamięć . I język rosyjski , który był kulą u nogi . A najgorsze były wiersze . Ja potrafiłam poradzić sobie pamięciowo . Nie zawsze wszystko rozumiałam , ale potrafiłam wiersza nauczyć się na pamięć , i powiedzieć ten wiersz normalnie , nie rozumiejąc go wcale .

Z dzieci rosyjskich , w tej szkole , były tylko córka jednego obieszczika , córka drugiego , a reszta dzieci , to były dzieci polskie tych wszystkich zesłańców .

Wszyscy uczyliśmy się w jednej dużej klasie . Starsi , z trzeciej i czwartej klasy siedzieli z jednej strony , a my, młodsze dzieci , z drugiej . I ona tak wykladała . Raz nam , raz im .

Później ten enkawudzysta już nie siedział , tylko od czasu do czasu składał nam wizyty . Julia Grigoriewna była dobra . Druga , Zoja Wasiliewna była wredna . Tej nie lubiliśmy . Jak ona przyszła , też wykladała wszystkie przedmioty , tylko klasom starszym . A Julia Grigoriewna wykladała nam , młodszym , z czego bardzo się cieszyliśmy . Tamta była tak wredna , że jak usłyszała jakieś polskie słowo , zaraz o tym donosiła.

Później Julia Grigoriewna już nas nie uczyła . Mama spotkała ją kiedyś w Talmience , i mówiła , że ona bardzo źle się czuła , że była chora na gruźlicę . Młoda była dziewczyna , a wysłali ją na taką wiochę , że świat deskami zabity , i musiała co jakiś czas iść piechotą z tego uczastka do Talmienki , żeby zdawać relacje . Ona była bardzo młoda . Może 18-19 lat .

Co roku pod koniec odbywały się egzaminy z każdego przedmiotu . Siedział w komisji enkawudzista , siedziała jedna nauczycielka , druga , siedziała felczerka . Odbywał się egzamin , i wypisywanie świadectw do następnej klasy . A te dzieci , które kończyły te cztery klasy , kropka . Nam więcej nie wolno było się uczyć . One szły już do pracy . My także , uczyliśmy się tylko zimą , latem zaś pracowałyśmy przy zbiorze żywicy .

Budynek szkolny , to był jeden duży barak , przedzielony na połowę . W jednej części była szkoła , w drugiej internat . Internat przedzielony był prowizorycznie na pół , na część dla chłopców i dziewcząt .

Spisał Boćkowski Daniel

